

**WOJCIECH
CHMIELARZ
FARMA LALEK**

MARGINESY

Copyright © by Wojciech Chmielarz

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Dla rodziców

Żadna firma nie jest samowystarczalna i nie ma niewyczerpanych zasobów, ale najczęściej ma nieograniczone potrzeby, konkurujące o rzadkie zasoby przedsiębiorstwa. Dlatego prace, które inni mogą wykonać taniej i skuteczniej, trzeba zlecać na zewnątrz, bo inaczej firmy marnotrawiłyby swoje zasoby.

Mark J. Power, Kevin C. Desouza, Carlo Bonifazi, *Outsourcing. Podręcznik sprawdzonych praktyk*, przeł. Tomasz Rzychoń

PROLOG

Dżinsowa kurtka marki jednej z niemieckich firm odzieżowych, idealna na kapryśną górską wiosnę, została wyprodukowana w ramach outsourcingu w Chinach, a do Polski trafiła w kontenerze z używanymi ubraniami. Teraz nosiła ją jedenastoletnia dziewczynka z blond włosami zaplecionymi w dwa warkocze. Wielkie błękitne oczy upodabniały dziewczynkę do postaci z japońskiej kreskówki. A w szczególności do bohaterki jednego z tych niegrzecznych filmów anime, które mężczyzna siedzący w terenowym bmw tak lubił oglądać, kiedy wiedział, że jest sam i nikt mu nie będzie przeszkadzać.

Mężczyzna wziął łyk red bulla, przełknął i natychmiast poczuł, że gardło znów robi mu się suche z ekscytacji, a penis twardnieje, napierając na rozporek zbyt ciasnych spodni.

Dziewczynka siedziała na skraju drogi, bazgrząc patykiem po ziemi i ocierając nos dżinsowym rękawem. Chyba płakała, co sprawiało, że cała sytuacja robiła się jeszcze bardziej podniecająca.

Czy się zgubiła? Czy zaraz ktoś po nią przyjdzie – tata, mama, starszy brat? Może zostawili ją dla przestרחu, bo była niegrzeczna, a teraz dyskretnie pilnują, ukryci za drzewem?

Mężczyzna włożył puszkę z napojem do specjalnego uchwytu zawieszzonego przy samochodowym oknie, uważając przy tym, żeby nie wylać ani kropli na tapicerkę. Wychylił się lekko do przodu, by zbadać okolicę. Nie zauważył nikogo dorosłego. Jedyna para turystów zeszała w dół dobre dziesięć minut temu. Było dość

wcześnie rano, tak niewielki ruch mimo ładnej pogody wydawał się więc zrozumiały. Ostatni dom w mieście stał dwadzieścia metrów dalej, a jego okna zasłaniał gęsty żywopłot.

Nikt ich nie widział. Mężczyzna poczuł, że napięcie narasta. Miał ochotę wyciągnąć penisa ze spodni i natychmiast zacząć się masturbować.

Powstrzymał się z trudem. Sięgnął po puszkę, wypił ostatni łyk, po czym zgniótł ją i wyrzucił za półotwarte okno. Wziął dwa głębokie oddechy i z mocno bijącym sercem uruchomił silnik.

Dziewczynka podniosła główkę, dopiero kiedy bmw zatrzymało się niecały metr od niej, a mężczyzna otworzył drzwi od strony pasażera. Uśmiechał się przyjaźnie.

– Cześć – rzucił wesoło.

Nie odpowiedziała. Ściągnął okulary przeciwsłoneczne.

– Zgubiłaś się?

Chwyciła mocniej patyk i zaczęła wbijać go szybko w ziemię, tworząc nieregularny wzór z niewielkich dziurek.

– Dlaczego milczysz? Mama cię nie nauczyła, że należy odpowiadać, jak dorośli pytają?

Bąknęła coś, czego w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Słucham? Możesz powtórzyć?

Westchnęła cichutko, a jemu przeszedł dreszcz po plecach. Była taka malutka, taka seksowna.

– Mama mówiła, że nie wolno mi rozmawiać z nieznajomymi.

Był przygotowany na takie stwierdzenie.

– Twoja mama ma absolutną rację. Ale ja nie jestem nieznajomym.

Spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

– To jak się nazywam? – zapytała.

Roześmiał się, rozbawiony jej bezczelnością i bystrością.

– Nie wiem, kochanie – przyznał. – Ale znam twoją mamę. A najlepiej to znam wiesz kogo?

– Kogo?

Patrzyła na niego z wyczekiwaniem.

– Panią ze sklepu – zaryzykował.

– Panią Mariolkę?

– Oczywiście, że panią Mariolkę. Jestem jej dobrym przyjacielem, wiesz? Bardzo często robię u niej zakupy i sobie rozmawiamy. Czasami przychodzi do nas twoja mama i dyskutujemy wspólnie, niekiedy to nawet o tobie. Właściwie to... – zawiesił na chwilę głos, zwiększając jej ciekawość – ...powinnaś mnie pamiętać ze sklepu.

– Nie pamiętam.

– Byłaś tam niedawno z mamą, jadłaś batona. Przypominasz sobie?

Zastanawiała się przez chwilę. Tymczasem mężczyzna drżał wewnątrz z niepokoju. Czy połknie przynętę? Czy jego mała rybka da się schwytać? Dała. Pokiwała głową energicznie, a on uśmiechnął się lekko.

– No właśnie. Jak weszłaś z mamą, to właśnie rozmawiałem z panią Mariolką, potem zabrałem swoje zakupy, miałem takie dwie wielkie czerwone torby, pożegnałem się, powiedziałem „dzień dobry” twojej mamie i wyszedłem. Pamiętasz już?

– Może... – powiedziała z ociąganiem.

– Tak właśnie było. Zapytaj mamę, jak wrócisz do domu.

Kiwnęła głową. Mężczyzna sięgnął do torby schowanej za przednim siedzeniem i wyciągnął kolejną puszkę z red bullem.

– Chcesz?

Spojrzała na niego podejrzliwie, ale tym razem mniej nieufnie niż wtedy, kiedy do niej podjechał. Wiedział, że musi się pospieszyć. Lada moment ktoś może tędy przechodzić, a wtedy cały plan, który tak długo układał w głowie, trafi szlag. Pękłoby mu serce.

Trzymał puszkę nonszalancko, jakby mu nie zależało, żeby ją wzięła. Ciągle się uśmiechał, patrząc bardziej na drogę niż na dziewczynkę. Kątem oka zauważył, że podchodzi do samochodu, chwyta napój, wyciąga go z jego dłoni, a potem cofa się natychmiast dwa kroki, zaskoczona łatwością, z jaką przeprowadziła tę operację, oraz tym, że nie próbował jej złapać. Kolejna bariera podejrzliwości w jej głowie padła.

Otworzyła red bulla.

– Naprawdę zna pan panią Mariolkę? – zapytała między łykami.

– Bardzo dobrze. Od lat u niej kupuję.

Kiwnęła głową.

– Co tu robisz? – zapytał.

Wykonała nieokreślony ruch ręką, wskazując na pobliskie góry.

– Idziesz na wycieczkę?

– Tak – przyznała niechętnie.

– Sama? – zapytał i natychmiast ujrzał w jej oczach iskiarki złości. Wystraszył się, że powiedział coś nie tak i że zaraz ją straci. Podniósł dłonie w geście wyrażającym, że właściwie nic go to nie obchodzi, czy idzie sama czy z kimś. Miał nadzieję, że dała się na to nabrać. Była jak małe futrzane zwierzątko, które bardzo łatwo przestraszyć.

– Zmęczyłaś się?

– Tak.

– Bo przeszłaś kawał drogi. Niezła z ciebie turystka.

– Aha.

– Idziesz w górę?

– Tak.

– Jadę tam właśnie. Podwieźć cię?

Milczała, nie potrafiąc się zdecydować. Widział malującą się na jej twarzy rozterkę – z jednej strony miał przecież miłą, przyjazną

twarz, znał panią Mariolkę, a pewnie i mamę, ale z drugiej strony ciągle nie potrafiła mu zaufać. Dostrzegając to wahanie, chciał po prostu wyskoczyć z samochodu, chwycić ją w pas i wrzucić do bagażnika. Tak byłoby najlepiej. Ale wtedy ktoś mógłby usłyszeć jej krzyki. Nie, musiał się kontrolować. Pod powiekami ciągle widział fragmenty japońskiego filmu animowanego, w którym bohaterka miała takie same oczy jak ta dziewczynka. I tak słodko jęczała. Najpierw się broniła, ale potem jęczała. Ta mała też będzie jęczeć. Kiedy już przestanie krzyczeć.

– No nic. Jak chcesz, to idź na piechotę – powiedział, postanawiając zagrać *va banque* i sięgając po klamkę od drzwi.

Zatrzymała go, kiedy już niemal zamknął.

– Niech pan poczeka.

Skoczyła na równe nogi i wślizgnęła się do samochodu. Uśmiechnął się po raz kolejny i pomógł jej zapiąć pas, przy okazji, niby przypadkiem, muskając jej udo.

– To jedziemy – powiedział i wskazał na puszkę *red bulla* w jej dłoniach. – Uważaj, żeby nie wylać.

Uruchomił silnik i ruszył. Nie zauważył, jak z lasu wyszła dziewczyna z psem, która długo przyglądała się odjeżdżającemu samochodowi.

– Jezu, jak tu pięknie – powiedziała Ola.

Mortka pomyślał, że jego była żona ma rację. Ciepłe majowe słońce padało na twarz policjanta, przebijając się przez gęsty dach zielonych, pachnących wiosną liści. Siedzieli w ogródku tuż przed zabytkowym poniemieckim pałacem, a za ich plecami rozciągała się malownicza panorama Karkonoszy. Zanurzył usta w chłodnym piwie i przez chwilę, krótką jak mrugnięcie powieki, czuł się szczęśliwy. A potem Adam, nowy chłopak Oli, który siedział naprzeciwko, ale którego Mortka w cudowny sposób usunął ze swojego pola widzenia, musiał się odezwać.

– Wiecie, że tu nieopodal, za tym hotelem, znajduje się fabryka dywanów? Ta słynna fabryka dywanów! – Wskazał na pałac za swoimi plecami, w którym wynajął pokoje dla siebie, Oli i chłopaków.

– Nigdy o takiej nie słyszałem – powiedział kwaśno komisarz, zastanawiając się jednocześnie, czy Adam i Ola zamieszkali w jednym pokoju czy jednak osobno.

– Nigdy, naprawdę? W PRL-u dywany z tej małej miejsciny były prawdziwym rarytasem. Moja mama o mało co nie zginęła, kiedy próbowała kupić jeden.

– Co się stało? – zainteresowała się Ola, która właśnie kończyła dopijać kawę. Wyglądała pięknie: uśmiechnięta, wyluzowana, emanująca seksapilem i spełnieniem.

– Mama dowiedziała się dzień wcześniej, że rzucą dywany. Od czwartej nad ranem siedziała przed sklepem, kolejka gęstniała z minuty na minutę, zrobił się prawdziwy tłum. Wszyscy napierali na drzwi do tego sklepu, bo każdy chciał dostać towar. I w pewnym momencie, mniej więcej wtedy, kiedy mieli już otwierać, ale z jakiegoś powodu nie otwierali, ludzie zaczęli się pchać. A moja mama była w pierwszym szeregu. Dosłownie wcisnęli ją w szklane drzwi, które zbiły się z hukiem, a ona sama wpadła do środka. Najpierw o mało co jej nie stratowano, a potem się zorientowała, że upadła tuż obok wielkiego, ostrego jak brzytwa kawałka szyby. Upadłaby kilka centymetrów w prawo, a odłamek przebiłby jej tętnicę szyjną. – Adam uśmiechnął się lekko i wyciągnął szyję, żeby przyrzeć się opuszczonym fabrycznym halom, które kryły się za pałacem. – Wyobrażacie to sobie? Ludzie się zabijali o te dywany.

– Dosłownie – dodała szybko Ola i chwyciła go za rękę. Adam mruknął cicho z zadowoleniem.

– Mama do dzisiaj ma blizny. Na szczęście tylko na dłoniach. Jeden z odłamków przeszedł na wylot.

– Niesamowite.

– Te dywany były wtedy marzeniem każdej pani domu. Do wszystkich demoludów je wysyłano.

– A teraz? – zapytał Mortka, uznając, że powinien się odezwać z grzeczności.

Adam podniósł jedną brew w geście życzliwego zdziwienia.

– Nie wiesz? Przecież trochę tu już mieszkasz.

– Nie miałem okazji się zainteresować – odpowiedział zmieszany policjant, zły na siebie, że w ogóle wpadł mu do głowy pomysł, by otwierać usta.

– Zakład padł po transformacji. Przerost zatrudnienia, przestarzały park maszynowy, tańsza konkurencja zagraniczna, konserwatywny sposób zarządzania i mentalność z poprzedniego ustroju – wymieniał jednym tchem Adam. – Czyli to samo

co w tysiącach podobnych zakładów, które przespały reformy Balcerowicza.

Mortka pokiwał głową, jakby się zgadzał, ale tak naprawdę czuł się coraz bardziej nieswojo. Z utęsknieniem spojrzął na drzwi pałacu, gdzie kilka minut wcześniej zniknęli jego synowie, żeby kupić sobie lody. Postanowił, że kiedy wyjdą, weźmie ich na spacer, na wycieczkę czy nawet do Izby Pamięci Górniczej, którą mijał, idąc tutaj. Dokądkolwiek, byleby pozbyć się towarzystwa tego nadętego, przystojnego i bogatego dupka, który aktualnie dymał jego byłą żonę i którego z całego serca nienawidził.

– Jak ci tu jest, Kuba? – zapytała Ola.

Mortka wzruszył ramionami.

– Nudno. Nic się nie dzieje.

– Żadnych morderstw? – zaciekał się Adam.

– Zabójstw – poprawiła go Ola i natychmiast się zaczerwieniła. – Nawyk żony policjanta.

– A czym to się różni? Coś kojarzę ze studiów, ale szczerze mówiąc, teraz bardziej się orientuję w cypryjskim prawie podatkowym niż w polskim karnym.

– Morderstwo to zabójstwo popełnione ze szczególnym okrucieństwem. Inna kwalifikacja czynu – wyjaśnił Mortka.

– A rzeczywiście – Adam pstryknął palcami tuż obok swojego ucha – coś mi się przypomina. To nie miałeś tutaj żadnego morderstwa?

– Nie.

– A zabójstwo?

– Jedno. Facet zabił brata...

– Po pijaku, nożem kuchennym, pokłócili się o pieniądze – dokończyła za komisarza Oła. – Gdybym dostawała złotówkę za każdym razem, kiedy Kuba wracał do domu z takimi historiami, byłabym bogata. A tak swoją drogą, trafiłam?

– Prawie. Nogą od taboretu, nie nożem. Reszta się zgadza.

Roześmiali się wszyscy. Adam i Ola szczerze, komisarz dla towarzystwa. Dopił piwo i stwierdził, że powinien zamówić następne, bo inaczej tutaj nie wytrzyma. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta rano.

– A poza tym? – dopytywał się Adam.

– Kradzieże, włamania, kilka pobić, przemoc domowa, drobny handel narkotykami. Nudy.

Prawnik podrapał się po nosie.

– To co ty tutaj właściwie robisz? Bo mnie się wydaje, że ty się tutaj po prostu, wybaczone określenie, marnujesz. Ola co prawda wspominała, że masz uczyć tutejszych policjantów sposobów prowadzenia dochodzeń, nowych metod, wymieniać się doświadczeniami...

– Teoretycznie tak właśnie powinno być.

– A praktycznie?

– A praktycznie to jestem tutaj za karę. I zostały mi jeszcze dwa miesiące.

Adam najpierw zamrugał zdziwiony, a potem otworzył usta, żeby zadać kolejne pytanie, ale Ola dała mu znak, żeby milczał. Mortka był jej za to wdzięczny. Nie chciał mówić o powodach swojego zesłania. A na pewno nie Adamowi.

W tym momencie zadzwonił telefon komisarza. W samą porę, żeby uchronić ich od niezręcznej ciszy, która niewątpliwie zaraz by zapadła. Mortka wstał, wyciągnął aparat z kieszeni kurtki, uśmiechnął się i odszedł na stronę. Dopiero wtedy odebrał połączenie.

– Komisarz Mortka? – Usłyszał szczebiotliwy głos dyspozytorki z miejscowego komisariatu. Nie pamiętał, jak się nazywała, ale była mała, pulchna i przypominała mu chomika.

– Przy telefonie.

– Wiem, że dzisiaj pan nie pracuje, ale mamy mało ludzi, niektórzy pobrali urlopy, wyjechali z rodzinami, sam pan rozumie, majówka i...

– O co chodzi? – przerwał jej.

– Jest zgłoszenie. Możliwe zaginięcie. Mała dziewczynka. Jedenaście lat. Nie wróciła na noc do domu.

– Gdzie?

Wyciągnął notatnik i zapisał podany adres. Pożegnał się z dyspozytorką i wrócił do stolika z przepaszającym wyrazem twarzy, który zamiast pomagać, wywoływał zawsze tylko wściekłość Oli. Teraz też tak się stało. Najpierw zbladła, potem lekko poczerwieniała, poprawiła włosy, a jej usta zmieniły się w wąską, niemal niewidoczną linię.

– Muszę iść – powiedział Mortka, starając się unikać wzroku byłej żony. – Jest sprawa do załatwienia. Postaram się szybko uwinąć.

– Jaka sprawa? – zapytała chłodno.

– Zaginęła jedenastolatka.

– I akurat ciebie wezwali?

Komisarz wyciągnął przed siebie ramiona, jakby tym gestem chciał pokazać, że nigdzie w pobliżu nie widać innego policjanta. Potem sięgnął po portfel.

– Daj spokój – zaprotestował Adam. – Ja zapłacę.

Mortka uśmiechnął się tylko, wyjął dziesięć złotych i położył pod pustym kuflem.

– Cześć – rzucił i obrócił się na pięcie.

Z ulgą opuścił ogródek piwny i zostawił za sobą stary pałac, Adama i Olę. Szybkim krokiem zmierzał pod wskazany adres. Dopiero po pięciu minutach intensywnego marszu zorientował się, że nie pożegnał się z synami.

Mortka pomyślał, że wszystkie mieszkania w blokach w całej Polsce wyglądają tak samo: staro, ciasno i pachnie w nich gotowanym rosołem. To nie było wyjątkiem. Ledwo się zmieścił w przedpokoju pomiędzy szafą, rowerami i stosem ubrań.

Do środka wpuściła go mniej więcej czterdziestoletnia kobieta o brązowych włosach: przefuszczonych, zaczesanych gładko do tyłu i związanych w luźny koński ogon. Miała na sobie spodnie dresowe i czarną koszulkę, którą zakrywał poplamiony fartuch kuchenny. Zamiast powiedzieć „dzień dobry” lub coś podobnego, długo przyglądała się Mortce, milcząc ponuro.

– Nie znam pana – stwierdziła wreszcie. – Na pewno jest pan policjantem?

– Nazywam się komisarz Jakub Mortka. Jestem z Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw Komendy Stołecznej.

– Ale tutaj jest nie Warszawa, tylko Krotowice – zauważyła przytomnie kobieta.

– Zgadza się – odpowiedział Mortka i zaczął recytować wyuczoną na takie okazje formułkę: – Biorę udział w policyjnym programie Most. Polega on na tym, że policjanci odbywają staże u kolegów z innych miast. Program służy wymianie doświadczeń, poznaniu problemów kryminalnych innych jednostek, zdobyciu wiedzy i nawiązaniu kontaktów, które mogą się przydać w przyszłości. Równocześnie normalnie pracujemy. To oznacza, że mam takie same uprawnienia i obowiązki jak koledzy z krotowickiego komisariatu.

Kobieta rozważyła to, co właśnie usłyszała, a potem kiwnęła głową. Gestem kazała policjantowi iść za sobą.

Mortka przecisnął się między rowerami, jednym dla chłopca, jednym dla dziewczynki oraz jednym dla dorosłego, i stanął obok drzwi prowadzących do dużego pokoju. Ujrzał w nim mężczyznę ze sporą nadwagą, siedzącego na kanapie w samym podkoszulku i bokserkach. W jednej ręce trzymał puszkę z piwem, a w drugiej pilota od telewizora. Bezmyślnie skakał po kanałach. Nagle przerwał i obrócił się w stronę policjanta.

– Sama wróci – stwierdził tubalnym głosem. – Stara niepotrzebnie robi aferę.

– Oby – powiedział komisarz i poszedł do kuchni. Kobieta czekała na niego, stojąc z zapalonym papierosem w dłoni przy na wpół otwartym oknie. Na kuchence gazowej rzeczywiście gotował się, cicho bulgocząc, rosół.

– Mogę usiąść? – zapytał Mortka i wskazał na sfatygowane krzesło obok niewielkiego stołu.

– Proszę, jak pan musi.

Policjant zajął miejsce, wyciągnął długopis i notatnik. Położył je obok poplamionego zeszytu, spomiędzy którego kartek wystawały białe strzępy paragonów.

– Pani Joanna Gawryś? – zapytał.

– Przecież pan wie.

– To formalności.

– Tak. Nazywam się Joanna Gawryś.

– Zgłosiła pani zaginięcie córki?

– Marta wyszła wczoraj z domu przed południem i nie wróciła na noc.

– Dlaczego dopiero teraz zgłosiła pani zaginięcie?

Kobieta zaciągnęła się papierosem i wydmuchała dym za okno.

– Myślałam, że śpi u jakiejś koleżanki – wyjaśniła zmęczonym głosem. – Czasami tak robi. Bywa też, że ktoś nocuje u nas. Zwykle informujemy się o takiej sytuacji, wie pan, między matkami, ale niekiedy człowiek jest tak zmęczony, że zapomni. Zdarzało się już tak, dlatego się nawet bardzo nie denerwowałam. Ale nie wróciła dzisiaj rano do domu. Obdzwoniłam matki jej przyjaciółek. U żadnej się nie zatrzymała.

– Może kogoś pani pominęła?

– Telefonowałam do każdej.

– Może to jakaś nowa koleżanka?

– Znam jej przyjaciółki. Każdą jedną – prychnęła Joanna Gawryś. Z papierosem w dłoni podeszła do kuchenki, żeby zamie-

sząć rosół. – To nie Warszawa, panie policjancie, tutaj się wszyscy znają.

Mortka kiwnął głową.

– Czy córka mówiła, dokąd idzie, wychodząc z domu?

– Byłam wczoraj w pracy. Na porannej zmianie na stacji benzynowej. Wyszła przed moim powrotem do domu.

– A mąż?

– Stary! – wrzasnęła w stronę dużego pokoju. – Marta mówiła ci, gdzie wychodzi?!

– Nie! – odkrzyknął mężczyzna. – Ile razy mam to powtarzać?!

– A brat? – zapytał komisarz.

– Skąd pan wie, że ma brata?

– Rower chłopięcy w przedpokoju.

– Ach tak... – W jej oczach ujrział coś na kształt uznania. – Janek! Janek!

Nikt nie odpowiedział. Odłożyła papierosa do stojącej na parapecie za oknem popielniczki, przeprosiła na moment i wściekłym krokiem wymaszerowała z kuchni.

– Janek! Ile razy mam ci mówić, że jak cię wołam, to masz przychodzić?! Za uszy cię teraz zaciągnę! – krzyczała.

Mortka usłyszał jeszcze, jak Joanna Gawryś trzaska drzwiami od pokoju dziecięcego, a chwilę potem wróciła do kuchni. Wbrew swoim obietnicom z pustymi rękami.

– Nie ma go w domu – powiedziała od razu.

Policjant zmarszczył brwi.

– A gdzie jest?

– Nie wiem. Duży jest. Nie mówi mi, gdzie chodzi.

Joanna Gawryś wetknęła do ust odłożonego do popielniczki papierosa, ale się nie zaciągała. Przez chwilę wydawało się, że papieros pali się sam.

– Ile ma lat?

– Janek?

– Tak.

– Trzynaście.

– Wrócił do domu na noc?

Kobieta aż sapnęła oburzona.

– Oczywiście, że wrócił! Za kogo mnie pan uważa, że niby nawet nie wiem, czy moje dzieci wracają na noc do łóżek?!

– Nie o to mi chodziło.

– To o co?

Mortka postanowił szybko zmienić temat, zanim wda się w beznadziejną kłótnię, z której nic nie będzie wynikało.

– Jakie są stosunki Janka z Martą? – Po twarzy kobiety przemknął grymas oburzenia, kiedy usłyszała słowo „stosunki”, więc policjant szybko sprecyzował, co ma na myśli. – Lubią się? Bawią się razem?

– Ona by chciała, on nie. To chłopiec, starszy. Ma swoje pomysły. Czasami ją bije, ale lekko. Jak to rodzeństwo. Poza tym ona nie pozostaje mu dłużna. Sam pan wie, jak to jest, nie?

– Tak, wiem.

– No właśnie.

Kobieta skończyła palić i zgasiła niedopałek za oknem. Mortka przypatrywał jej się przez chwilę, rozważając to, co właśnie zobaczył i usłyszał. Joanna Gawryś na pewno nie była dobrą matką, ale nie należała też do tych złych. Mieściła się idealnie w kategorii bylejakości. Marta mogła przenocować u jednej z koleżanek lub też u kogoś z rodziny, mogła też wpaść na jakiś szalony pomysł, który potrafi przyjść do głowy tylko jedenastoletniemu dziecku, i wrócić do domu w ciągu godziny lub dwóch, a cała sprawa zakończy się na solidnym laniu. Bo też – Mortka w to nie wątpił – rodzina Gawrysiów prawny zakaz stosowania kar cielesnych wobec dzieci miała w głębokim poważaniu. Chociaż zapewne nie przekroczyli nigdy tej cienkiej granicy, która oddziela karanie od katowania. Zarazem jednak Joanna Gawryś, w przeciwieństwie do męża,

rzeczywiście przejmowała się zniknięciem córki. Poza tym przecucie, a raczej chęć zwalczania krotowickiej nudy, podpowiadało komisarzowi, żeby potraktować tę sprawę poważnie.

Sprawił na czystej kartce w notatniku, czy długopis nie jest wypisany, a potem wyciągnął z kieszeni kurtki drugi, zapasowy, tak żeby mieć go w razie czego pod ręką. Uśmiechnął się przyjaźnie do kobiety.

– Będzie pani taka uprzejma i odpowie mi jeszcze na kilka pytań.

Kiedy wyszedł z bloku, komisarz Bogusław Lupa już na niego czekał, oparty o karoserię swojej terenowej toyoty RAV4. Mortce rzuciła się najpierw w oczy jedna z jego słynnych już kraciastych koszul, spod której wystawał biały podkoszulek. Lupa miał na sobie również jasnobrązową skórzaną kurtkę, dżinsowe spodnie i czarne buty à la kowbojki. Brakowało mu tylko kowbojskiego kapelusza i wykałaczki w ustach, a można by go wziąć za zaginionego w Karkonoszach amerykańskiego ranczera.

Lupa zamachał do Mortki, który zaskoczony obecnością kolegi przystanął na moment.

– Dowiedziałem się o zgłoszeniu zaginięcia jedenastolatki. Podobno ty się zająłeś tą sprawą. – Lupa przeszedł od razu do rzeczy.

– Tak.

Mortka zbliżył się do komisarza. Przywitani się uściskiem dłoni.

– Poważna rzecz? – zapytał Lupa.

– Być może.

Lupa cmoknął cicho.

– Co to za dziewczynka?

– Marta Gawryś. Znasz tę rodzinę?

Krotowicki policjant pokręcił dłonią w lewo i w prawo.

– O tyle o ile. Tutaj wszyscy wszystkich znają. Mniej lub bardziej. Ci Gawrysiowie nie wyróżniają się niczym szczególnym. Mieliśmy chyba dwa czy trzy zgłoszenia w sprawie przemocy domowej, ale jak przyjeżdżał na miejsce patrol, to i on, i ona, i dzieciaki robili buzię w ciup. Nawet się nie do końca orientuję, kto kogo miałby tam bić. On ma co prawda masę, ale ona charakterek.

– Zauważyłem.

– Kiedy zginęła dziewczynka?

– Wczoraj rano wyszła z domu. Nie wróciła na noc.

– Jakies ślady, pomysły?

– Na razie nie.

– Aha.

Mortka przyjrzał się koledze, który nerwowo bawił się kluczami od samochodu. Nigdy nie widział go tak przejętego i zmartwionego. Komisarz Bogusław Lupa był jedynym policjantem w miejscowej komendzie, którego Mortka autentycznie szanował i z którego zdaniem się liczył. Wcześniej Lupa pracował we wrocławskim oddziale Centralnego Biura Śledczego, gdzie zajmował się zwalczaniem przestępczości zorganizowanej. Przez pewien czas działał jako agent pod przykryciem, wnikając w struktury grup przestępczych i doprowadzając do paru bardzo spektakularnych w swoim czasie zatrzymań. Po kilku latach takiej służby Lupa zdał odznakę CBS i poprosił o spokojniejszy przydział. I tak wylądował w Krotowicach, z czego wydawał się zadowolony.

– Co się dzieje, Boguś? – zapytał Mortka.

Lupa drgnął. Potem wskazał kciukiem na samochód.

– Wskakuj. Wy tłumaczę ci wszystko po drodze.

Nie czekając na odpowiedź, Lupa zajął miejsce kierowcy. Mortka obszedł auto i wsiadł po drugiej stronie. Ruszyli, zanim zdążył zapiąć pasy.

– To o co chodzi? – ponowił pytanie Mortka.

Lupa westchnął ciężko.

– Jeśli Marta naprawdę zaginęła, to by była druga dziewczynka w tym wieku, która zniknęła w okolicy w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

Mortka zmarszczył brwi.

– Czytałem wasze akta – powiedział. – Nie było w nich zgłoszenia o zaginięciu dziecka.

– Bo go nie ma. Nigdy nie złożono formalnego zawiadomienia.

– Nie rozumiem.

– Proste. Dziecko zniknęło, ale rodzice uważają, że nie ma sprawy.

– Co to za rodzice?

– Cygańscy – odpowiedział Lupa.

Mortka zapadł się głębiej w fotelu. W Krotowicach mieszkało około dwustu, trzystu Romów. W miasteczku, które liczy około dziesięciu tysięcy mieszkańców, to nie jest dużo, ale Romowie sprawiali wrażenie, że jest ich trzy razy więcej. Niemal wszyscy zajmowali budynki komunalne przy ulicy, którą miejscowi ochrzczili mianem Harlemu.

Mortka zorientował się już na początku swojego pobytu, że Krotowice mają z tym problem. Kiedy pojawiła się plotka, że do miasta miałyby się sprowadzić jeszcze kilkanaście romskich rodzin, o mało nie doszło do zamieszek. Przygotowywano demonstrację przed ratuszem, do radnych wysłano anonimowe groźby, których autora nie udało się ustalić.

Mieszkańcy zazdrościli Romom programów pomocowych i socjalnych, a przy tym twierdzili, że Romowie, po pierwsze, nie pracują, po drugie, nie chcą pracować, a po trzecie, są głośni, śmieją, nie pilnują swoich psów i dzieci oraz bywają niebezpieczni, szczególnie wtedy, kiedy są pijani. Zarazem Romowie wcale nie spieszyli się do integracji z miejscową społecznością i czasami trudno było nie odnieść wrażenia, że większość z nich całe dni spędza na leniwym włóczeniu się po okolicy lub na niekończą-

cych się rozmowach o wszystkim i niczym. Miejsce takich dyskusji można było potem rozpoznać po rozrzuconych na chodnikach stosach łupin pestek słonecznika i dziesiątkach niedopałków. Rezultat tego był taki, że obie społeczności nie przepadały za sobą.

– Opowiedz mi o tej cygańskiej dziewczynce – poprosił Mortka.

– Adela Siwak, lat jedenaście. Zaginęła mniej więcej dwa tygodnie przed twoim przyjazdem. Rodzice odmówili złożenia zawiadomienia.

– Jak to uzasadnili?

– Nijak. Nie gadali z nami.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

Mortka zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć odpowiednie przepisy z Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego.

– A prokurator? Kurator? Opieka społeczna? Ktokolwiek? Nie mogliście ich przycisnąć?

– Pewnie mogliśmy – odpowiedział ponuro Lupa. – Ale sam wiesz, jak jest.

– Jak jest?

– To pieprzeni Cyganie, Kuba. Nikt ci tego głośno nie powie, ale nastawienie jest takie, że jednego Cygana mniej, to jeden problem mniej. Zaginęła jedenastoletnia dziewczynka, a wszyscy, wszyscy mają to, kurwa, w dupie. – Policjant uderzył pięścią w kierownicę. – Chociaż oczywiście w papierach wszystko się zgadza. Dokumenty krążyły elegancko z jednego biurka na drugie, aż wreszcie wylądowały w szufladzie. I tyle. Ale jak teraz zniknęła jedna z naszych, to pewnie wkrótce sprowadzą tu pieprzony helikopter. Chuj wie na co, jak tu wszędzie lasy.

Lupa niemal trząśł się ze złości. Ta sprawa go wyraźnie poruszyła, a Mortka dziwił się, że nigdy wcześniej o niej nie rozmawiali. Ostatnio spędzali razem sporo czasu. Dwaj policjanci

i Tomasz Nowak, lekarz z miejscowego szpitala, spotykali się wieczorami w barze o wdzięcznej nazwie USA, gdzie marnowali czas, pijąc piwo oraz oglądając mecze piłki nożnej i siatkówki. Mortki wydarzenia sportowe za bardzo nie obchodziły. Nie potrafił wskrzesić w sobie kibicowskiego ducha, którego wybiły mu na początku służby wizyty na stadionie przy Łazienkowskiej, dokąd wysyłano go razem z resztą oddziału prewencji i gdzie na ich głowy leciały w najlepszym razie petardy i zwoje papieru toaletowego. Niemniej cieszył się towarzystwem Nowaka i Lupy. Pomagało mu to lepiej znieść karkonoskie zesłanie. Podczas długich godzin, kiedy siedzieli wpatrzni w telewizor nad regularnie napełnianymi kuflami, rozmawiali o pracy, rodzinie, dzieciach i tysiącach innych spraw, które akurat wpadały im do głowy. Nigdy jednak nie padło nazwisko romskiej dziewczynki.

– Nie rozumiem, dlaczego rodzice...

– Jesteśmy dla nich nieczyści – przerwał mu w pół słowa Lupa.
– Mają coś takiego, co nazywają *romanipen*. To rodzaj kodeksu honorowego. Według niego każdy, kto współpracuje z policją, podpada pod wielkie skalenie. Nie wiem, jak oni to nazywają po swojemu. Po prostu taki Cygan sam staje się nieczysty. Hańba spada na niego i na jego rodzinę, a on sam przestaje być Cyganem.

– Co takiego?

– Kuba, sam tego dobrze nie rozumiem, ale tak właśnie jest. Jeśli jakiś Cygan współpracuje z policją, przestaje być Cyganem. Nie można z nim jeść, mieszkać, rozmawiać. Wyrzuca się go poza nawias społeczności. Dożywotnio. To najcięższa kara.

Wyjechali poza miasto i skierowali się obwodnicą Krotowic w stronę szpitala miejskiego. Urządzono go w ogromnym poniemieckim gmachu umiejscowionym na zboczach pobliskiej góry. Z tarasu na pierwszym piętrze rozciągał się piękny widok na Śnieżkę, a sam szpital z daleka przypominał luksusowy hotel. Dopiero kiedy podjechało się bliżej, czar pryskał – sanatorium rodem

z *Czarodziejskiej góry* zmieniało się w kolejny niedoinwestowany zakład opieki medycznej.

– Nie współpracują z policją – powiedział Lupa ni to do Mortki, ni to do siebie – mają własny język, inny kolor skóry. Kurwa, gdyby byli choć trochę sprytniejsi, to mielibyśmy z nimi duży problem.

– Wiem, o czym mówisz. Na Mazowszu zastanawiamy się, co zrobić z Wietnamczykami.

– Też nie chcą sypać?

– Czasami my albo chłopaki z CBS dorwiemy się do jakiegoś „banana”, ale „banany” raczej wypadły z obiegu i wiedzą tyle co nic. A „pikachu” w większości nawet nie znają polskiego.

Lupa roześmiał się.

– O czym ty, kurwa, mówisz, Kuba? Jakie „banany”, jakie „pikachu”?

– „Pikachu”. Tak jak z tej kreskówki *Pokemony*. Znasz?

– Tak. Znam. Moje córki to kiedyś oglądały. Zbierz je wszystkie, co?

– Właśnie. Pikachu to ten mały żółty stworek. Tak właśnie nazywamy Wietnamczyków.

– A „banany”?

– Spolonizowani Wietnamczycy. Żółci na zewnątrz, biali w środku. Jak banany. W większości drobni przedsiębiorcy, właściciele restauracji, robią co najwyżej małe przekręty na rachunkach. Robota bardziej dla skarbowki niż dla policji.

Lupa, wciąż rozbawiony, skręcił z obwodnicy w wąską lipową aleję prowadzącą bezpośrednio do szpitala.

– Po co tam jedziemy? – zapytał Mortka.

– Czas na mały wykład – rozpoczął Lupa. – Cygańska dziewczynka, która zaginęła jakiś czas temu, to Adela Siwak. Jej matka to Esmeralda Siwak. Pieprzona wariatka. Podobno kiedy była młoda, miała dwanaście, trzynaście lat, zalecał się do niej biały

chłopak. To były takie końskie zaloty, jak to u dzieciaków w tym wieku. Esmeralda pobiła go, złamała mu nos i o mało nie zatłukła go cegłówką, a potem poradziła, żeby się odpieprzył.

– Ładnie.

– Ojciec Adeli to Lucas Siwak. Jeśli Esmeralda to wariatka, to powiem tak: dobrze się dobrała z mężem. Facet ma na swoim koncie bójkę i pobicia. Podejrzewamy go o przemyt wódki i papierosów do Niemiec. Nic grubego, tyle, ile się zmieści do bagażnika.

– Import, eksport, drobne kradzieże?

– Właśnie. To bardzo brutalny i czuły na punkcie swojego honoru typ. Do tego stopnia, że ludzie, również biali, boją się przeciwko niemu zeznawać. Pobici przez niego, nawet miejscowi chojracy, najpierw składają zawiadomienie, a potem kręcą, że nie pamiętają, że nie wiedzą, nie widzieli dobrze, a może to był jakiś inny Cygan, a tak właściwie to oni nie odróżniają jednego od drugiego.

– Chyba przewinięło mi się to nazwisko w waszych aktach.

– Dobra. Esmeralda ma siostrę. Lucillę Kowal. A raczej Katarzynę Kowal, bo zmieniła sobie imię w urzędzie. Niezwykła babka. Chcieli ją wydać za mąż w wieku trzynastu lat. Wiesz, to jeden z ich durnych zwyczajów. Jak rodzina nie chce chłopakowi oddać dziewczyny, to chłopak ją porywa na noc. Następnego dnia z nią wraca. Ale ponieważ jest domniemanie, że córeczka straciła dziewictwo, rodzice nie mają innego wyjścia, jak oddać ją za żonę porywaczowi. U Cyganów to normalne, ale Kaśka uciekła z domu.

– Tak, tak, słyszałem o tych zwyczajach... I co było dalej z tą Kaśką?

– Przygarnęła ją biała rodzina, która zgodziła się ją ukrywać, ale za to traktowała jak darmową służącą. I przez pięć lat Kaśka im sprzątała, gotowała, prasowała, myła okna. Słowem, zapieprzała jak mały cygański samochodzik. A kiedy skończyła osiemnaście lat, pokazała im środkowy palec, wyrobiła sobie dowód i wyje-

chała do Krakowa. Tam pracowała jako kelnerka, skończyła szkoły dla dorosłych, potem studia i jako pani polonistka i pedagog wróciła do Krotowic. Pracuje teraz jako nauczycielka w naszej podstawówce. To ona nauczyła mnie wszystkiego o Cyganach.

– Nie bała się z tobą rozmawiać? – zdziwił się Mortka. – Ten ich cały kodeks...

– Kaśka twierdzi, że nie do końca jest już traktowana jako Cyganka. Pomaga miejscowej społeczności załatwiać sprawy w urzędzie, namawia rodziców, żeby posyłali dzieci do szkół. Trochę ją akceptują, ale jest już raczej *manusipen* niż *Roma*.

– *Manusipen*?

– To gorzej niż Cygan, ale lepiej niż gadzio. Tak nazywają białych. Chociaż Kaśka zastanawia się, czy przypadkiem nie jest już gadziem. To dość skomplikowana i płynna kwestia.

Mortka zaczynał żałować, że nie wyciągnął notatnika, aby to wszystko zapisać.

– Skąd w ogóle wiesz o tym zaginięciu?

– Szkoła zareagowała, kiedy Adela przestała się pojawiać na lekcjach. Początkowo uważali, że to... czekaj, jak to było... zaprzestanie realizacji obowiązku szkolnego. Ale kiedy nawet Kaśka nie potrafiła się dowiedzieć, co się stało z dziewczynką, zaniepokoiłi się. Powiadomili nas. Jedyne oni pokazali, że przynajmniej trochę im zależy.

– Rozumiem.

– Lucas ma siostrę – kontynuował Lupa. – Zresztą niejedną, bo oni się mnożą jak króliki. Ale teraz chodzi o Sarę. Mąż Sary siedzi w więzieniu za kradzież samochodów. Ona opiekuje się trójką dzieci. Tylko że teraz leży w szpitalu, bo ktoś ją pobił. Barczo. Ma złamane dwa żebra.

– Ktoś?

– Stawiam na Lucasa.

– Za co?

– Może przyglądała się odrobinę za długo jakiemuś innemu mężczyźnie? Honor rodziny jest najważniejszy, więc pewnie Lucas pomyślał sobie, że naprostuje siostrzyczkę pięściami, zanim wpadnie jej do głowy głupi pomysł. Albo coś takiego. Temu gnoj-kowi naprawdę wiele nie potrzeba.

– A może to zrobił jakiś inny Cygan?

– Jeśli ktoś inny podniósłby rękę na siostrę Lucasa, to już znaleźlibyśmy jego ciało w rzece. Serio, Kuba, ten gość jest wariatem. Kilka lat temu niemal załutł na śmierć faceta, który powiedział, że chętnie przeleciałby jego żonę. Rozumiesz? Nie, że przeleciał, ale że przeleciałby. Ktoś inny może nawet wziąłby to za komple-ment. Koleś miał pecha, że Lucas właśnie odlewał się w krzakach i to usłyszał. To był zresztą jedyny raz, kiedy udało nam się tego czarnucha wsadzić za kratki.

Zaparkowali na parkingu przed szpitalem.

– Chcesz iść do Sary? – domyślił się Mortka.

– Tak.

– Po co, skoro Cyganie nie rozmawiają z policjantami?

– Jest w szpitalu. Sama. Nikt na nią nie doniesie. Poza tym, jeśli się nie mylę, ma żal do Lucasa. Może zdradzi nam coś na temat zniknięcia Adeli.

Mortka rzucił okiem na zegarek.

– Nie wiem, czy powinniśmy... Trzeba by zarządzić poszukiwania, przygotować akcję, wezwać posiłki z Jeleniej czy Kamiennej Góry.

– Nawet nie wiesz, gdzie szukać – przerwał mu Lupa. – Poza tym chłopaki na komisariacie już się tym zajmują. Kazałem im.

Mortka spojrzął na budynek i poczuł, że kurczy mu się żołądek. Nienawidził szpitali, bał się ich i, inaczej niż w prosektoriach, czuł się w nich niekomfortowo. Najchętniej zostałby w samochodzie. Ale Lupa już wchodził do środka, chcąc więc czy nie, ruszył za nim.

– Czołem, Boguś. Czołem, Kuba. – Doktor Nowak przywitał ich przy wejściu. Był niewysokim mężczyzną o bladej cerze i włosach obciętych tak krótko, jakby właśnie wyszedł z wojska. Spokojny i wycofany, wyglądał trochę tak, jakby zawsze czuł się nie na miejscu.

– Cześć, Tomek. Dzięki, że po nas wyszedłeś.

– Żaden problem. Jaką macie sprawę?

– Chcę porozmawiać z Sarą.

Nowak najwyraźniej był przyzwyczajony do takich odwiedzin, bo nie zadawał więcej pytań. Od razu poprowadził ich szpitalnymi korytarzami do właściwej sali.

Gmach wybudowano w stylu neogotyckim, przez co wewnątrz budynek wyglądał jak nawiedzony zamek z powieści grozy. Ostra woń detergentów wżerała się Mortce w nos.

– Uprzedzić ją o waszej wizycie? – spytał Nowak.

– Gdybyś mógł, to lepiej nie – powiedział Lupa.

– Jak chcesz.

Wkrótce stanęli przy drzwiach od sali. W środku znajdowały się cztery łóżka, ale zajęte były tylko dwa. Mortka zorientował się od razu, do kogo przyszedł – do kobiety z podbitymi oczami, siniakami na rękach, opatrunkami i zaciętą miną, która miała odstraszyć postronnych. Jej wściekłe, pełne gniewu spojrzenie mówiło, że jest gotowa zrobić wszystko, byle tylko obronić dobre imię swojej rodziny. *Romni* dojrzała policjantów, rozpoznała Lupę i demonstracyjnie obróciła się twarzą do ściany. Druga pacjentka w pokoju, starsza kobieta z opatrunkiem na brzuchu, tylko podniosła wzrok znad krzyżówki.

Sara nie odpowiedziała na żadne z pytań, które jej zadali. Próbowali przez blisko piętnaście minut. Przez ten czas kobieta na łóżku obok coraz głośniejszymi chrząknięciami dawała im do zrozumienia, jak bardzo jej przeszkadzają. Wreszcie zrezygnowali. Pożegnali się z lekarzem i wrócili do miasta. Nie zamienili po

drodze ani słowa. Mortka próbował ułożyć sobie w głowie wszystko, co usłyszał od Lupy, a Lupa z marsową miną skupiał się na prowadzeniu.

Zatrzymali się na tym samym osiedlu, na którym mieszkali Gawrysiowie, ale przy innym bloku.

– Gdzie tym razem?

– Pogadać z Kaśką Kowal – wyjaśnił niechętnie Lupa. – Chcę, żebyś też usłyszał, co ma do powiedzenia na temat siostrzenicy.

– A jeśli się mylisz? Jeśli te dwie sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego? Przecież Cyganie wydają za mąż już trzynastolatki. Może Adelę też wydali.

– Trzynastolatki, Kuba. Nie jedenastolatki. Nawet oni nie są tacy popierdoleni.

Lupa bez słowa wyszedł z samochodu i ruszył przed siebie. Mortka po chwili wahania poszedł za nim.

Przy drzwiach od klatki minęli staruszka, który właśnie wynosił z piwnicy zapakowanego w worek na śmieci martwego kota. Spod błękitnej pomarszczonej folii wystawały szpiczaste uszy, a z drugiej strony zwisał rudy ogon, który teraz przypominał grubego włochatego robaka. Staruszek stanął przed Lupą na baczność i skinął głową po żołniersku.

– Dzień dobry panu komisarzowi – powiedział suchym głosem.

– Dzień dobry.

– Kolejnego martwego kota wynoszę – wyjaśnił staruszek. Miał na nosie okulary w grubej kościanej oprawie i z porysowanymi, chociaż czystymi szklami. – Z naszej piwnicy sobie, kurwa, umieralnię zrobiły. Jak to... cmentarzysko słoni. Coraz jakiegoś martwego znajduję. Niektórych szkoda, bo nawet całkiem młode były.

– Może to trutka na szczury? – zasugerował Mortka.

– Może – powiedział staruszek, który chyba lubił zgadzać się z innymi, bo na jego twarzy pojawił się miękki uśmiech. – Ale wie

pan, my okna zamykamy, wszystkie dziury zatkane, a te cholery i tak wążą do środka i zdychają. W naszej piwnicy śmierdzi już jak nieszczęście od tego kociego ścierwa.

Pożegnali się ze staruszką i weszli na drugie piętro. Lupa zadzwonił do drzwi po lewej stronie. Otworzyła im trzydziestoletnia kobieta o orientalnej urodzie. Umalowana, w obcisłym swetrze i dżinsach, z kruczoczarnymi włosami wyglądała jak hinduska gwiazda filmowa. Dopiero przy kolejnym spojrzeniu można było dostrzec mankamenty jej urody: widoczny już drugi podbródek, lekko obwisłe policzki, a nad lewą brwią znamię, z którego wystawały trzy długie ciemne włoski.

– Boguś! – krzyknęła na widok Lupy i rzuciła się na niego z rozpostartymi szeroko ramionami. Uścisnęli się serdecznie jak para dobrych przyjaciół. – Wejdźcie do środka!

Kobieta wzmocniła zaproszenie ekspresyjnym machnięciem ręką.

– To mój kolega, Kuba Mortka, policjant z Warszawy – przedstawił komisarza Lupa, wchodząc do niewielkiego przedpokoju.

Kobieta mieszkała w kawalerce podobnej do tej, którą przydzielono Mortce. Choć oczywiście ta należąca do *Romni* była bardziej zadbana oraz lepiej wyposażona.

– Słyszałam o panu.

– Skąd? – zaciekawił się Mortka.

Romni uśmiechnęła się, ukazując rząd lekko żółtawych zębów.

– To małe miasteczko, niewiele się tutaj dzieje. Po pana przyjeździe w pokoju nauczycielskim przez prawie tydzień o panu plotkowano. Podobno zesłano pana do nas za karę, bo zabił pan człowieka. To prawda?

Komisarz skrzywił się.

– Nie do końca – mruknął.

– A jak było?